



GDY BRAKUJE RZECZY OCZYWISTYCH, RODZI SIĘ OSOBA

Zapiski ze spotkania z ks. Juliánem Carrónem
na zakończenie Rekolekcji kapłańskich,
Pacengo del Garda (Werona), 5 listopada 2014 r.

Teksty ks. Luigiego Giussaniego i ks. Juliána Carróna © Bractwo Comunione e Liberazione

**Zapiski ze spotkania z ks. Juliánem Carrónem na zakończenie Rekolekcji kapłańskich,
Pacengo del Garda (Werona), 5 listopada 2014 r.**

Obudziłem się dziś rano, odczuwając konieczność błagania Ducha Świętego w intencji nas wszystkich, ponieważ tylko Duch Święty może dać nam taką otwartość, taką zdolność poznania, która umożliwi nam zrozumienie, jak naprawdę się rzeczy mają. Bez takiej świadomości, owszem, możemy działać czy podejmować inicjatywę – bo każdy z nas działa zgodnie z tym, jak widzi świat, zgodnie z potrzebami, które dostrzega – ale to, co robimy, nie pozostawia śladu. Dlatego jeśli będziemy sobie wzajemnie pomagać w tym, żeby nasze spojrzenie na świat, na okoliczności, które przeżywamy, było prawdziwe, będzie to pierwszy wyraz przyjaźni, jaki możemy sobie okazać w życiu, pomoc w naszej posłudze, pomoc w życiu w obliczu potrzeb świata.

INNE SPOJRZENIE NA RZECZYWISTOŚĆ

Pierwszym darem, jaki otrzymaliśmy od księdza Giussaniego, dzięki któremu zaczął tworzyć historię, której jesteśmy częścią, był jego sposób postrzegania rzeczywistości. Pomyślmy o rozmowie z młodzieżą w pociągu albo z licealistami, którzy podchodzili do niego, żeby się wypowiedzieć, kiedy na początku lat 50. w każdy weekend udawał się do parafii przy viale Lazio w Mediolanie. Rozmawiając i spowiadając, dobrze widział, jaka jest sytuacja – dlatego postanowił wszystko zmienić, nawet własną karierę akademicką, w pewien sposób krzyżując nawet plany, jakie mieli wobec niego przełożeni: zrobił to, aby odpowiedzieć na pilną potrzebę, która tak jasno mu się ukazała. Od tego zaczął. W sytuacji, w jakiej znajdował się Kościół ambrojański pod koniec lat 50., gdzie nie pojawiały się szczególne problemy z ortodoksją i wszystko toczyło się spokojnie, jego spojrzenie uchwyciło – dzięki Bogu – kwestię decydującą; a to dzięki zdolności dostrzeżenia prawdziwych znaków czasu, tych znaków, których jeszcze nikt nie widział. To, co dziś jest oczywiste dla wszystkich – bo widzieliśmy i widzimy tego konsekwencje – na początku, jak to zwykle bywa, widzieli tylko niektórzy. Geniuszowi wystarczy kilka sygnałów do tego, by móc wyciągnąć ogólny wniosek. To jest geniusz Ducha Świętego, który może dać człowiekowi łaskę, by ten zaczął rozumieć. W ciągu swojego życia ksiądz Giussani wielokrotnie dowodził tego odmiennego spojrzenia, odmiennego od spojrzenia innych, ale także od naszego, wskutek czego zaskakiwał nawet nas.

Czego brakowało w tamtym czasie? Ortodoksyjnie przekazywana doktryna nie przenikała już życia, nie stawiała się na nowo doświadczeniem. Ksiądz Giussani założył Ruch właśnie po to, by zacząć odpowiadać na tę potrzebę. Dlatego zaczął od nowa, mówiąc o doświadczeniu, bo bez niego – to znaczy jeśli doktryna nie wkracza w życie i nie doświadcza się jej – nie możemy zrozumieć natury wiary. Od samego początku umieścił w centrum doświadczenie:

„Nie jestem tutaj, abyście przyjęli jako swoje idee, które wam przekazuję, lecz aby was nauczyć prawdziwej metody osądzania rzeczy, które wam przekazałem” (L. Giussani, *Ryzyko wychowawcze*, tłum. A. Surdej, Jedność, Kielce 2002, s. 17). Innymi słowy: nie przyszedłem, żeby was do czegoś przekonywać, ale żeby dać wam narzędzie, abyście doświadczyli i przekonali się sami, aby poprzez ciągłe porównywanie tego, co przeżywacie, z kryteriami, które w sobie odkrywacie, gdy zaangażujecie się w weryfikację tego, co wam proponuję, budowała się wasza osobowość.

UŁOMNOŚĆ ŚWIADOMOŚCI.

JAKBY JUŻ NIC NIE BYŁO NAPRAWDĘ OCZYWISTE

Ale w pewnym momencie, wiele lat po narodzinach Ruchu, ksiądz Giussani zdał sobie sprawę, że (przede wszystkim w życiu ludzi młodych) zachodzi jakaś kolejna przemiana, która wcale nie przejawiała się – jak wielu z nas mogłoby sądzić – w jakiejś moralnej niespójności. Coś takiego byłoby bez znaczenia. On jednak zrozumiał, że nie chodziło właściwie o niemoralność czy moralną słabość młodzieży lat 80.: „Wydaje mi się, że różnica tkwi w tym, że dzisiaj świadomość jest słabsza; nie jest to słabość moralna, ale brak energii świadomości. (...) To tak jakby [dzisiaj] nic już nie było naprawdę oczywiste poza modą, ponieważ moda jest projektem władzy” (L. Giussani, *L'io rinasce in un incontro. 1986–1987*, Bur, Milano 2010, s. 181–182).

To zanikanie rzeczy oczywistych nasilało się wykładniczo przez kolejne lata i nasila się dalej. Dzisiaj możemy jeszcze lepiej zrozumieć znaczenie słów ówczesnego kardynała Ratzingera o Europie, które już cytowaliśmy: „W epoce oświecenia (...), w oderwaniu od wyznań religijnych i w obliczu zagrażającego kryzysu obrazu Boga, podjęto próbę uchwycenia istotnych, bezsprzecznych wartości moralnych i starano się znaleźć taki sposób wyrazu, który uczyniłby je niezależnymi od wielu podziałów i wątpliwości różnych filozofii i wyznań. Chciano w ten sposób zapewnić sobie podstawy współistnienia i, ogólnie rzecz biorąc, stworzyć zasady dla całej ludzkości. W tamtej epoce wydawało się to możliwe, ponieważ zasadnicze przekonania, stworzone w ciągu wieków przez chrześcijaństwo, w większości opierały się zmianom i wydawały się bezdyskusyjne (...). Poszukiwanie takiej krzepiącej pewności, która mogłaby pozostać bezdyskusyjna niezależnie od wszelkich różnic, poniosło klęskę (J. Ratzinger, *Europa Benedykta w kryzysie kultur*, tłum. W. Dzieża, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2005, s. 68–69).

Istotnie, jak pisał w 1998 roku również kardynał Ratzinger, „upadek starych religijnych zasad, który przed siedemdziesięciu laty wydawał się jeszcze możliwy do zatrzymania, stał się w tym czasie rzeczywistością. Tak też coraz silniejsza i bardziej powszechna



staje się obawa przed upadkiem ludzkości, związanym w nieunikniony sposób z kryzysem religijnym” (tenże, *Wiara, prawda, tolerancja*, tłum. R. Zajączkowski, Jedność–Herder, Kielce 2005, s. 113). Dlatego kiedy mówimy o „upadku [oczywistych] zasad”, co robiliśmy już przy okazji wyborów do Parlamentu Europejskiego, wskazujemy na coś, co głęboko naznacza nasze czasy. Ksiądz Giussani nie dał się zmylić konsekwencjom. Ten upadek bowiem, owszem, niesie ze sobą bardzo dużo konsekwencji moralnych, ale ksiądz Giussani precyzyjnie wskazuje ich przyczynę: nie ma już nic naprawdę oczywistego. Jeśli trudno nam zdać sobie z tego sprawę, to pokazuje to tylko, do jakiego stopnia i my jesteśmy zanurzeni w tej sytuacji. U jej początku bowiem stoi okaleczenie człowieka, jego podstawowych zdolności, które sprawia, że nie dostrzega się już tego, co oczywiste. To okaleczenie, jak mówi ksiądz Giussani, dokonuje się dzięki wpływowi władzy. Tym, co władza atakuje jako pierwsze, jest osoba, okalecza się osobę, jej pragnienie, zdolność rozumu do rozpoznania rzeczywistości. Być może także my jesteśmy określani przez władzę mocniej, niż mogłoby się nam wydawać, i to, jak trudno nam dostrzec ten upadek pewności w naszych czasach, jest na to pierwszym dowodem. Władza może więc pozwalać, by rozpraszały nas inne rzeczy, ponieważ jeśli nie uchwycimy źródła tego wszystkiego, początku, z którego biorą się wszystkie negatywne konsekwencje, które oglądamy, to w gruncie rzeczy samym naszym działaniem nie zidentyfikujemy problemu.

Pewien przyjaciel przypomniał mi w związku z tym słowa Chestertona: „Problemem naszych mędrców nie jest jednak to, że nie widzą odpowiedzi – nie są oni w stanie dostrzec również samej zagadki” (G.K. Chesterton, *Ortodoksja*, tłum. M. Sobolewska, Fronda, Warszawa 2012, s. 52), to znaczy nie zdają sobie

sprawy z problemu, nie widzą tego, co oczywiste, a w takim razie jest im trudno zrozumieć resztę. A to, nawiasem mówiąc, nie jest problem ugrupowań kościelnych, progresistów albo konserwatystów, ale problem spojrzenia na rzeczywistość, który dotyczy wszystkich. Zresztą jest to ten sam problem, jaki miał Jezus z faryzeuszami: dlaczego tak zażarcie podkreślali etykę? Ponieważ nie rozumieli natury problemu, a w konsekwencji zadowalali się naciskiem na etykę. Cały ten pelagianizm, jaki często w sobie odnajdujemy, wynika z faktu, że nie zdajemy sobie sprawy z natury ludzkiego problemu; dlatego możemy maniakalnie próbować kolejnych możliwych rozwiązań, nie dotykając nawet sedna sprawy. Czasem Jezus wydaje nam się naiwny i gorszy nas tym; kiedy mówi: „Ale przecież w gruncie rzeczy nie w tym problem”, gorszy wszystkich „Ale jak to?! Jak to możliwe, że Jezusowi wydaje się ważniejsze pójście na kolację do Zacheusza niż pouczenie go o moralności?”. Postawa Jezusa zaskakuje wszystkich. „Jak to możliwe?”

Jezus inaczej widzi sprawę, widzi je prawdziwie. Ile potrzeba nam czasu, żeby to zrozumieć? Już zdarzyło się nam coś podobnego. Ksiądz Giussani widział przecież pewne rzeczy od samego początku, ale potrzeba było wiele czasu, aby stało się to jasne także dla nas, a dzisiaj dla wszystkich. Tu nie chodzi o różne ugrupowania, dyskusje, dialektykę. Jeśli myślimy, że problem da się rozwiązać przy pomocy dialektyki, to pokazuje to niezdolność do rozpoznania rzeczy oczywistych, „najbardziej oczywistych oczywistości”, niezdolność do uchwycenia tego, co się wydarza, niezdolność do zrozumienia, na czym polega upadek, na który patrzymy. Jeśli nie zdamy sobie z tego sprawy, to nie możemy mieć nadziei, że właściwie odpowiemy na wyzwanie, choćby wszędzie było nas pełno. >>

>> OGRANICZENIE ZDOLNOŚCI DO PATRZENIA

To spojrzenie na ludzką kondycję w całej jej pełni, na człowieczeństwo jako takie, zostało ograniczone. Jeśli tego nie zauważamy – powiedział nam ksiądz Giussani – to dlatego, że władza ma na nas wpływ, redukując naszą zdolność do patrzenia na rzeczywistość. Taki wpływ nie ogranicza tylko naszych możliwości moralnych, naszej spójności, ale także zdolność do patrzenia. Konsekwencją jest ograniczona świadomość tego, co się dzieje. Dlatego bardzo mnie zdumiał fragment wypowiedzi księdza Giussaniego, który cytowałem później na Rekolekcjach Bractwa (por. J. Carrón, „*W biegu, aby Go pochwycić*”, Łódź 2014, s. 32): „Skoro jesteśmy tak bezwstydnie podzieleni, rozczłonkowani, że niemożliwa jest nawet jedność pomiędzy mężczyzną a kobietą, i nikomu nie można już zaufać; jeśli jesteśmy aż tak cyniczni wobec wszystkich i wszystkiego, i tak bardzo wyzuci z miłości wobec samych siebie [jakbyśmy byli od samych siebie oddzieleni], to w jaki sposób z tego błota, z tego mułu wydobyć coś, dzięki czemu moglibyśmy odbudować zburzone mury, wytworzyć cement, by zbudować nowe mury? (...) Zważywszy na te nasze zranienia, faktycznie nie możemy powiedzieć: «Weźmy się wspólnie za odbudowywanie naszego człowieczeństwa!». Jeśli do tego stopnia jesteśmy pokonani, to co możemy zrobić, aby zwyciężyć? (...) Trzeba, aby przybył ktoś z zewnątrz – *musi przybyć ktoś z zewnątrz* [spoza naszych myśli, spoza naszej ograniczonej zdolności do patrzenia, naszej ograniczonej zdolności do widzenia; musi przybyć ktoś z zewnątrz względem nas teraz, nie względem nas sprzed momentu, kiedy zaczęliśmy przeżywać chrześcijaństwo, nie względem tych, którzy jeszcze nie są chrześcijanami, ale względem nas, którzy już jesteśmy chrześcijanami] – i trzeba aby to on odbudował nasze zburzone mury. (...) I to jest właśnie nasza największa trudność w stosunku (...) do autentycznego chrześcijaństwa: przyjąć, że poprzez *coś innego* – przez coś, co pochodzi z zewnątrz – człowiek staje się sobą” (L. Giussani, „*È sempre una grazia*” – „To zawsze jest łaska”, w: *È, se opera*, dodatek do „30Giorni”, luty 1994, s. 57–59).

To – podkreśla ksiądz Giussani – „nie podoba się”: uwaga, nie podoba się nam! Odczuwamy opór, ponieważ każdemu się zdaje, że już wszystko jest dla niego jasne. Pomyślmy o rozmowach, jakie czasem toczy my: każdy już wie, co sądzić o sytuacji, o tym, co należałoby zrobić, wszyscy już wiemy, a my księży najbardziej! Dlatego fakt, że musi przybyć coś z zewnątrz, aby odbudować nasze zburzone mury, nie podoba się, bo w takim razie „trzeba zgodzić się na coś, co nie odpowiada naszej fantazji i naszemu wyobrażeniu o doświadczeniu, coś, co naszemu roszczeniu jawi się jako abstrakcja. [I dlatego] (...) zatrzymujemy się [to zda-

nie powinniśmy mieć zawsze wyryte przed oczami!] (...) na jakimś bezsilnym dążeniu do naprawy albo na jakimś kłamliwym, *podstępym roszczeniu*, a to oznacza *utożsamienie środka zaradczego z własnym wyobrażeniem* [jakimkolwiek wyobrażeniem, które sobie stworzymy] i *wolą naprawy* [stwarzamy sobie wyobrażenie i powierzamy się naszej woli naprawy, a potem przeforsowujemy to, co mamy w głowie]. (...) W ten sposób rodzi się «wywód» na temat wartości moralnych, ponieważ wywód o wartościach moralnych zakłada, że środek zaradczy w obliczu rozpadu może pochodzić z siły fantazji i woli człowieka: «Zbierzmy się razem i damy sobie radę!» (tamże, s. 59).

**CHRYSTUS PRZYBYŁ,
BY PRZEBUDZIĆ NASZĄ ZDOLNOŚĆ
POZNAWANIA RZECZYWISTOŚCI**

Jeśli nie pomożemy sobie w uwalnianiu się od naszych wyobrażeń i myśli, jeśli nie porzucimy uporczywych prób zrealizowania ich w naszych działaniach, nie odpowiemy na dzisiejsze wyzwanie. Sytuacja, którą opisuje ksiądz Giussani, jest taka sama jak ta, o której przypomina nam Kościół w całej swojej historii: „Przykazania prawa naturalnego [czyli najważniejsze dla człowieka „oczywistości”] nie są postrzegane przez wszystkich w sposób jasny i bezpośredni [z powodu ograniczenia „ja”, które dotyczy także nas]. W obecnym stanie człowiek grzeszny koniecznie potrzebuje łaski i objawienia, by prawdy religijne i moralne [rzeczy oczywiste] mogły być poznane «przez wszystkich łatwo, ze stałą pewnością i bez domieszki błędu»” (KKK, p. 1960). Tak wygląda sytuacja: stwierdzał tak już w XIX wieku, mówiąc o poznaniu Boga, Sobór Watykański I, cytowany później w Katechizmie. Dlatego w dokumencie na

ten sam temat międzynarodowa komisja teologiczna stwierdza: „Trzeba być więc ostrożnym i rozsądnym, przywołując «oczywistość» zasad prawa naturalnego” (Międzynarodowa komisja teologiczna, *W poszukiwaniu etyki uniwersalnej: nowe spojrzenie na prawo naturalne*, 2009, p. 51). Ta sytuacja stała się jeszcze poważniejsza w wyniku sekularyzacji i dlatego kondycja współczesnego człowieka charakteryzuje się właśnie utratą rzeczy oczywistych.

Zatem ksiądz Giussani nie przez przypadek chciał, w odpowiedzi na tę sytuację, mówić nam o chrześcijaństwie: nie po to, by przekonywać nas do tego, co sądził, ale po to, byśmy mogli znów zobaczyć rzeczywistość taką, jaką ona jest. Powiedział nam, że Chrystus przybył właśnie po to, by obudzić w nas zmysł religijny, by przebudzić naszą zdolność do poznawania rzeczywistości. Jeśli nie zdamy sobie z tego sprawy, to pozostanie nam gasić tu i tam pożary konsekwencji, ale nie pomożemy człowiekowi lepiej widzieć. Sytuacja bowiem radykalnie się zmieniła: nie

**Nie ma już nic
naprawdę
oczywistego.
Jeśli trudno nam
zdać sobie z tego
sprawę, to pokazuje
to tylko, do jakiego
stopnia i my
jesteśmy zanurzeni
w tej sytuacji. U jej
początku bowiem
stoi okaleczenie
człowieka.**

chodzi o to, że ludzie nie widzą oczywistości lub jej zaprzeczają, bo są źli lub zamknięci. Po prostu jej nie widzą, a to jest częścią zanikania człowieczeństwa, na który to proces wciąż patrzymy. Jeśli możemy powiedzieć, że coś widzimy, to tylko dlatego, że jesteśmy chrześcijanami, ponieważ fakt Chrystusa daje nam możliwość widzenia. W przeciwnym razie także my myślelibyśmy tak jak inni. Nie trzeba więc wyrzucać drugiej osobie, że nie widzi (możemy tak robić, ale to bezskuteczne!): prawdziwa pomoc drugiemu to pomoc w tym, by wydobył się z tego impasu i ujrzał na nowo rzeczywistość.

Zdumiała mnie uwaga kardynała Scoli, którą wypowiedział w wywiadzie dla „La Repubblica” w trakcie synodu o rodzinie. Wydaje mi się bardzo cenna dla nas, dlatego ją powtórzę. Mówiąc o momencie, w którym znalazł się dziś Kościół, kardynał mówi: „Konfrontacja z rewolucją seksualną (która jest ostatnią próbą, jaką podejmuje jednostka, by się od siebie wyzwolić, idąc za każdym projektem, jaki tylko może sobie wyobrazić) jest wyzwaniem chyba nie mniejszym niż to, które rzuciła rewolucja marksistowska” (A. Scola, „Il no ai divorziati resta, ma non è un castigo e sugli omosessuali la Chiesa è stata lenta” – „Pozostaje odmowa dla rozwodników, ale nie jest to kara, i wobec homoseksualistów Kościół łagodnie”, wywiad z Paolo Rodarim, „La Repubblica”, 12 października 2014 r., s. 19). Są to dwie próby, na poziomie społecznym i indywidualistycznym, uwolnienia się od siebie samych.

W obliczu tego nowego wyzwania, które angażuje Kościół i nas samych, mamy w naszej historii (odnoszę się do życia Ruchu, w trakcie którego towarzyszył nam ksiądz Giussani) środki pozwalające nam się z nim zmierzyć. A jednak czasem wydaje mi się, że nie nauczyliśmy się dość dobrze tej historii i powtarzamy błędy przeszłości. I zdumiewa mnie, że wciąż nie nauczyliśmy się w pełni tego, co mówiłem w pierwszej medytacji Rekolekcji Bractwa, wracając właśnie do naszej historii, mianowicie o tym, jak ksiądz Giussani stawiał czoła wyzwaniu rewolucji marksistowskiej w 1968 roku i jak osądził nasze próby odpowiedzi na nią. Ponieważ z tego nie skorzystaliśmy, możemy wciąż powtarzać te same próby i te same błędy.

EGZYSTENCJALNA NIEPEWNOŚĆ, KTÓRA KAŻE SZUKAĆ OPARCIA W TYM, CO SIĘ ROBI

Ksiądz Giussani mówił, że za naszymi wysiłkami, podejmowanymi w pragnieniu zareagowania na sytuację, stoi „skutecznościowe rozumienie zaangażowania chrześcijańskiego, z akcentami moralistycznymi». Żeby to były tylko akcenty – to czysty moralizm! [bo w gruncie rzeczy nie rozumiemy, o co chodzi] (...). Drugą konsekwencją jest (...) niezdolność

do przekucia dyskursu na kulturę, do wyniesienia swojego chrześcijańskiego doświadczenia na poziom, na którym staje się systematycznym i krytycznym osądem, a więc i propozycją tego, jak działać. (...) Trzecia konsekwencja: teoretyczne i praktyczne niedoceniecie autorytatywnego doświadczenia, autorytetu (por. L. Giussani, *Długi marsz ku dojrzałości*, „Ślady” 2/2008).

Dlaczego tak się działo według księdza Giussaniego? Z powodu naiwności, „naiwności człowieka, który mówi: «Teraz ja tu wszystko uporządkuję» (...). Jakie to smutne!” (tamże). Naprawdę, jakie to smutne: tak wiele z tych prób wynikało i wynika – możemy to stwierdzić także dziś – „z egzystencjalnej niepewności, to znaczy z głębokiego lęku, który każe szukać oparcia we własnych działaniach. Ta uwaga, którą już raz poczyniliśmy, jest zupełnie podstawowa. Człowiek pełen niepewności, który się boi, ma w głębi serca egzystencjalny lęk, który panuje nad wszystkim, poszukuje pewności w tym, co robi: kultura jest organizacją. (...) To jest egzystencjalna niepewność, leżący u podstaw strach, który sprawia, że za punkt oparcia dla siebie, za własną rację bytu uznajemy rzeczy, które zdziałamy w kulturze albo jako organizacja”.

Ale najstraszniejsze jest to, co zauważa chwilę później: w ten sposób wszystko, co robimy, „cała aktywność kulturalna i cała aktywność organizacyjna nie stają się wyrazem nowego spojrzenia, nowego człowieka”, ponieważ są oznakami naszego egzystencjalnego lęku. Bowiem, kontynuuje ksiądz Giussani, „gdyby były wyrazem nowego człowieka, to mogłyby ich nawet nie być – gdyby okoliczności na to nie pozwalały – ale człowiek by nie upadał. A gdy spojrzymy na wiele tu obecnych osób, to gdyby nie było tego wszystkiego, oni by upadli, nie wiedzieliby, dlaczego tu są, nie wiedzieliby, do czego przynależą: nie stoją, nie mają oparcia; moja

osoba opiera się na obecności Kogoś Innego (tenże, *Uomini senza patria. 1982–1983*, Bur, Milano 2008, s. 96–97).

Jeśli nie skorzystamy z tej historii, to nawet jeśli będziemy wciąż podejmować inicjatywę, samym naszym działaniem, naszą samotnością, nie dotrzemy do źródła problemu, będziemy wciąż pogrążeni, jak przypomina nam ksiądz Giussani, w naiwności.

ZGŁĘBIĆ NATURE OSOBY MIERZĄCEJ SIĘ Z PROBLEMAMI

Wracając do doświadczenia z Ewangelią, podkreśla on, że osoba, osoba okaleczona przez władzę, „odnajduje siebie [tylko] w żywym spotkaniu, to znaczy w obecności, kogoś, na kogo się natyka i kto ją pociąga” (tenże, *L'io rinasce in un incontro. 1986–1987*, dz. cyt., s. 182). Jeśli to się nie wydarza, to wszystkie nasze próby odpowiedzi na nowe wyzwania >>

**Co decyduje
o oryginalności
naszego wkładu
w historię?
Co ksiądz Giussani
uznaje za misję
Chrystusa? Chrystus
nie przybył, żeby
rozwiązywać ludzkie
problemy, ale żeby
wychowywać do
zmysłu religijnego,
to znaczy do
przebudzenia osoby.**

» – na to okaleczenie, które sprawia, że człowiek zadowala się wszystkimi wyobrażeniami o sobie, które sam tworzy, choćby i w inny sposób niż ten z poprzedniej rewolucji – nie odniosą żadnego skutku. Jeśli człowiek nie odnajdzie samego siebie, jego wysiłki rozwiązania problemu zakończą się tylko większym okaleczeniem. Widzimy już, jak wysiłki wielu naszych współczesnych okazały się nieskuteczne jeśli chodzi o uchwycenie natury osoby, a więc o odpowiedź na najgłębsze potrzeby.

Co robi Jezus, aby przebudzić człowieka, aby go podźwignąć? Spotyka się z osobami, pokazuje im ludzką – swoją – obecność, która nie jest okaleczona. Ponieważ tylko wtedy, gdy napotykają Jego, Jego obecność, Jego tak jasną świadomość samego siebie, Jego zdolność do zrozumienia głębi i oczekiwania serca, może przebudzić się ich człowieczeństwo, zaczynają dostrzegać wagę swojego pragnienia, a dzięki temu mogą nie tracić już czasu na szukanie rozwiązań, które nie mogą dać właściwej odpowiedzi. Dlatego, ksiądz Giussani podkreśla, że „rozwiązanie problemów, które codziennie przynosi życie, «nie następuje bezpośrednio przez zmierzenie się z problemami, ale poprzez zgłębienie natury mierzącej się z nimi osoby»” (za: A. Savorana, *Vita di don Giussani*, Bur, Milano 2014, s. 489), to znaczy przez zgłębienie natury „ja”, natury ludzkiego pragnienia. To nie jest banał, ponieważ tylko wtedy, gdy ktoś ma taką samoświadomość, będzie mógł wyzwolić się od wszystkich rozwiązań, które sobie roi, i od krążących mu po głowie głupot. Dotyczy to także nas.

Ale w takim razie stoimy przed takim samym problemem, który nakreślił już Romano Guardini: możemy nawet mówić, że „to Chrystus budzi nasze człowieczeństwo”, ale pytanie brzmi: „Kto ochroni Chrystusa przede mną samym? Kto pozwoli Mu, by był wolny od sprytu mojego «ja» [od tego, jak Go redukuję], które chce uciec przed złożeniem prawdziwego daru z siebie? A odpowiedź brzmi: Kościół” (H.B. Gerl, Romano Guardini. *La vita e l'opera*, Morcelliana, Brescia 1988, s. 45); ten zaś dociera do nas dzisiaj, w szczególności, dzięki charyzmatowi. W takim razie, jeśli nie zdajemy sobie sprawy z tego, kto ocala Chrystusa i charyzmat od nas samych, gubimy po drodze Chrystusa i charyzmat.

KAŻDY JEST ODPOWIEDZIALNY ZA CHARYZMAT

Dlatego zawsze warto powracać do słynnego wystąpienia księdza Giussaniego: „Największą ofiarą jest oddanie życia dziełu Kogoś Innego” (w: L. Giussani, *L'avvenimento cristiano*, Bur, Milano 2003, s. 65–70). Dał nam wtedy wszystko, co potrzebne na drogę. W tym tekście mówi nam, że charyzmat został mu dany przez łaskę, ale musi dotrzeć do każdego z nas, abyśmy mogli zostać przez niego

przemienieni. „Każdy jest odpowiedzialny za charyzmat; każdy jest przyczyną pogorszenia lub poprawienia działania charyzmatu (...). Dlatego w tym momencie uświadomienie sobie odpowiedzialności to bardzo pilna, poważna konieczność, której wymaga uczciwość i wierność. W tym momencie każdy bierze odpowiedzialność za charyzmat”, ponieważ „jeśli nie będziemy tego mówić jasno, jeśli będziemy to pomniejszać, to uczynimy niejasną i pomniejszamy siłę wpływu, jaki historia naszego charyzmatu wywiera na Kościół Boży i na dzisiejsze społeczeństwo”. Ale jeśli spróbujemy uczynić to naszym, a przecież tak tego pragniemy, to „im bardziej każdy będzie odpowiedzialny za osobistą wersję charyzmatu, do którego został powołany, tym bardziej charyzmat ten będzie przekazywany przez jego temperament, przez to powołanie, którego nie da się zredukować do powołania nikogo innego”. Z powodu tej historycznej konkretności każdy może zrobić z charyzmatem to, co chce: „okaleczać go, traktować częściowo, akcentować jedno jego aspekty kosztem innych (robiąc z niego potworka), dostosowywać go do własnego gustu, do własnej korzyści, opuszczać go przez zaniedbanie, przez krnąbrność, przez powierzchowność, sprowadzać go do tej jego części, w której człowiek czuje się najbardziej swobodnie, w której znajduje najwięcej przyjemności i najmniej trudu” (tamże, s. 68).

Tutaj więc pojawia się „wielki problem: każdy [z nas], w każdym swoim czynie, w każdym swoim dniu, w każdym swoim wyobrażeniu, w każdym swoim postanowieniu, w każdym swoim działaniu musi pamiętać o porównywaniu kryteriów, według których działa, z obrazem charyzmatu takim, jaki powstał u początków wspólnej historii. (...) Porównywanie z charyzmatem jest (...) największym zadaniem, jakie przed nami stoi, z punktu widzenia metody i praktyki,

moralności i pedagogii. W przeciwnym razie charyzmat staje się pretekstem i punktem wyjścia do tego, czego się chce; ukrywa i przypieczętowuje to, czego sami chcemy” (tamże, s. 68–69). To porównywanie jest dla nas kluczowe, w przeciwnym razie będziemy pozostawieni samym sobie. Tak samo dzieje się z Chrystusem: kto ocala Chrystusa od nas samych? Kto chroni charyzmat przed nami samymi? Ponieważ, koniec końców, używając tych samych słów, możemy robić najróżniejsze rzeczy, tej samej Biblii używają różne wyznania chrześcijańskie, jak sami widzimy.

Ta gra toczy się o naszą zdolność do przyjmowania nowych wyzwań z całą mocą charyzmatu, który został nam powierzony. A co decyduje o oryginalności naszego wkładu w historię? Co ksiądz Giussani uznaje za misję Chrystusa? Chrystus nie przybył,

**Naprawdę
przeżywane
chrześcijańskie
doświadczenie
wyzwała osobę
od wszystkich
prób częściowych
rozwiązań, sprawia,
że promieniuje ona
radością i pełnią.
Nie uderzają nas
odmienne opinie,
ale prawdziwe, pełne
człowieczeństwo, na
które się natykamy.**



żeby rozwiązywać ludzkie problemy, ale żeby wychowywać do zmysłu religijnego, to znaczy do przebudzenia osoby, która przyjmuje właściwą postawę, by się z nimi zmierzyć. „Jezus Chrystus nie przyszedł na świat, aby wyręczyć człowieka w jego pracy, w jego wolności lub aby wyeliminować życiowe próby – egzystencjalny warunek wolności. Ten trud przynależy do zaangażowania każdego człowieka, jego życie mieści się właśnie w takiej próbie” (L. Giussani, *Chrześcijaństwo jako wyzwanie*, tłum. D. Chodyniecki, Pallottinum, Poznań 2002, s. 155)

Jeśli charyzmat nie jest w stanie wychować ludzi zdolnych do zmierzenia się z dzisiejszymi wyzwaniami, to nie ma dla nas nadziei. Dzisiaj, na przykład, młodzi muszą ruszać w świat, bo we Włoszech często nie mogą znaleźć odpowiedniej pracy; jeśli charyzmat nie jest w stanie tworzyć dojrzałych osób, zdolnych do zmierzenia się z tym zmienionym kontekstem kulturowym, to nie wystarczy fakt, że „obudujemy się wysokim murem”, żeby uniknąć problemu; nie możemy przecież wszystkiego, wszystkich drzwi, zaopatrzyć w hasło dostępu. Jediną nadzieją jest to, że pojawi się osoba zdolna do trwania w takiej sytuacji dzięki doświadczeniu pełni, którą przeżywa dzięki charyzmatowi. Jeśli Ruch nie będzie obecnym doświadczeniem, jeśli doświadczenie nie będzie go potwierdzać, jeśli w nim nie znajdę potwierdzenia tego, co prawdziwe, to nie ustoję na nogach. Przypominał nam o tym ksiądz Braschi, mówiąc o pierwszych chrześcijanach: jak mogli przeżyć w tamtym świecie, wobec tamtych wyzwań? Tylko dzięki świadomości otrzymanej łaski.

„NIKT NIE RODZI, JEŚLI SAM NIE JEST RODZONY”

Dlatego kiedy nic już nie jest oczywiste, to cała nadzieja w tym, że narodzi się osoba na tyle świadoma własnej natury, własnej ludzkiej potrzeby, tak że nie da się zwieść częściowym wyobrażeniom i rozwiązaniom, które nie przynoszą satysfakcji. Naprawdę przeżywane chrześcijańskie doświadczenie wyzwala osobę od wszystkich prób częściowych rozwiązań, sprawia, że promieniuje ona radością i pełnią, pokazując wszystkim człowieczeństwo, jakiego każdy pragnie. Bo przecież nie uderzają nas odmiennie opinie, ale prawdziwe, pełne człowieczeństwo, na które się natykamy. Nie da się nie zauważyć takiego odmiennego człowieczeństwa, niezależnie od tego, gdzie się mieszka – opowiadał o tym chłopak, który przez kilka miesięcy mieszkał w Teksasie. Osoby, które się z nim stykały, mówiły: „Nigdy nie widzieliśmy takiego człowieczeństwa”. Dzisiaj ludzie reagują tak samo jak ci pierwsi reagowali na Jezusa. To nie opinie na temat religii poruszają ludzi, ale prawdziwe, pełne człowieczeństwo. Potem trzeba będzie dobrze wytłumaczyć taką odmienność, ale pierwsze wrażenie rodzi się w spotkaniu z prawdziwym, nieokaleczonym człowieczeństwem.

Czym musimy żyć, żeby móc wychować człowieka, który będzie potrafił zmierzyć się z rzeczywistością? Wróćmy do punktu początkowego: „Nikt nie rodzi, jeśli nie jest rodzony” (tenże, *La gioia, la letizia e l'audacia. Nessuno genera se non è generato*, „Litterae Communionis-Tracce” 6/1997, s. IV), czyli jeśli teraz nie pozwala się tworzyć charyzmatowi, tej histo- >>

» rii, która wciąż daje nam wszystko, co potrzebne na drogę. Łaską, którą otrzymał ksiądz Giussani, było to, że niczym innym się nie przejmował tylko tym, by być w taki sposób tworzonym; jakby przewidział sytuację, w której my dzisiaj coraz bardziej się pograżamy. Wszyscy inni przejmowali się innymi rzeczami, może i ważnymi, ale uznawali za rzecz oczywistą, że człowiek będzie musiał mierzyć się z problemami. Tym, który oddał całe swoje życie za tworzenie nowego „ja”, którego jesteśmy świadkami, był ksiądz Giussani.

Będziemy wierni charyzmatowi, a charyzmat będzie mógł przetrwać w historii, jeśli Ruch będzie umiał jeszcze lepiej budować takich dorosłych jak ksiądz Giussani, tak promieniujących obecnością Chrystusa, tak rozradowanych doświadczeniem Chrystusa, że mogą świadczyć przed wszystkimi, kim On jest. Nie ma innej drogi, powtarza nam wciąż papież Franciszek: musimy dawać świadectwo życiem promieniującym Jego obecnością, tak by każdy, kto nas spotyka, mógł uczestniczyć w tej pełni. Otrzymaliśmy ją przez łaskę, ale wciąż na nowo musimy ją z prostotą otrzymywać, przyjmować: bez niej gubimy kontakt z rzeczywistością. Dlatego pomagajmy sobie, przyjaciele, podtrzymujmy się wzajemnie w tym wychowywaniu.

Światło, które płynie z naszej historii – jak mówiliśmy na Rekolekcjach Bractwa – pozwala wrócić do początku: tylko w ten sposób możemy żyć w tych historycznych okolicznościach z odmiennym spojrzeniem, możemy być obecni w sposób oryginalny. Jak powiedział nam Papież, bez punktu oparcia w czymś niezbędnym – a niezbędny jest Chrystus – na pewno przestraszymy się nowych wyzwań. To, co niezbędne, powrót do tego, do czego ksiądz Giussani zawsze nas wzywał i do czego dziś zachęca nas papież Franciszek, jest dla nas kluczowe. Bez tego będzie nam trudno osiągnąć wolność do szukania nowych form i sposobów mówienia o prawdzie, którą spotkaliśmy, o co prosił Papież w orędziu na Meeting.


PORUSZENIA NOWEGO CZŁOWIECZEŃSTWA INTRYGUJĄ

Wracając wciąż do tego, co niezbędne, będziemy w stanie pokazać wszystkim pewną obecność, pewien nowy sposób trwania w rzeczywistości; patrząc na to, ludzie będą mogli przezwyciężyć głęboką niechęć, niepozwalającą im podjąć osobistej odpowiedzialności. By można było zmierzyć się z odpowiedzialnością za dzisiejsze wyzwania, musi wydarzyć się coś, co przebudzi całe „ja”, tak by mogło na nowo zacząć patrzeć na rzeczy z dostateczną jasnością i zgadzać się z tym, co na nowo dostrzeże jako oczywiste. Bez tego nie będziemy mogli odpowiedzieć, nie będziemy mogli naprawdę przyczynić się do zmiany dzisiejszej sytuacji.

Nasz oryginalny wkład, ten, dla którego ksiądz Giussani wszystko rozpoczął, polega na odbudowie człowieka, który będzie w stanie rozpoznać prawdę, oczywistość rzeczy, i zgadzać się na nią. Właśnie to sprawia, że moment, który przeżywamy, jest pasjonujący: fakt, że ludzie, widząc w pewnych gestach oczywistość jakiejś prawdy, choćby otaczała ich obojętność (która jest objawem zanikania osoby), są zaintrygowani, pociągnięci. Pamiętacie, jak ksiądz Giussani opisywał oryginalną obecność? „Nowej rzeczywistości nie buduje się wywodami albo projektami organizacyjnymi, ale przeżywaniem poruszeń nowego człowieczeństwa w teraźniejszości” (tenże, *Dal’l’utopia alla presenza. 1975–1978*, Bur, Milano 2006, s. 66), to znaczy poruszeniami, w których da się zobaczyć, dotknąć to, co czyni człowieka bardziej sobą. A kiedy to się odkryje, człowiek zaczyna się zmieniać. Poruszenia nowego człowieczeństwa, to znaczy przyjaźni.

Ale spojrzenie na poziomie człowieczeństwa, towarzysztwo, które prowadzi do przeznaczenia, istnieje tylko dzięki obecności Chrystusa, ponieważ bez tej obecności niczego nie widzimy ani nie potrafimy zrobić. „Chrystus jest tożsamy z tym, jak doświadczam siebie”, powiedział mi niedawno pewien przyjaciel. To jest przezwyciężenie dualizmu: Chrystus jest tożsamy z tym, jak doświadczam siebie w mojej relacji z rzeczywistością. I widać, że Chrystus jest obecny nie dlatego, że mówię „Chrystus” – wielu ludzi mogłoby to powiedzieć – ale dlatego, że inaczej doświadczam siebie, że jestem w stanie uchwycić rzeczywistość i być wolnym, nieokreślonym przez to, co mnie otacza.

Właśnie dlatego jesteśmy razem. Ale jeśli chcemy naprawić przyczynić się do rozwoju sytuacji, musimy jeszcze lepiej uświadomić sobie naturę wyzwania. W przeciwnym razie będziemy próbowali powstrzymać konsekwencje: co oczywiście może

być przydatne, ale na pewno niczego trwale nie zmienić. To oznacza, że potrzebujemy czasu: zaczniemy sadzić drzewa oliwne, wiedząc, że może nie zobaczymy owoców, może tylko w pewnych momentach, w pewnych osobach. Właśnie dlatego jest jeszcze ważniejsze, byśmy potrafili dobrze wytyczyć cel, dla którego jesteśmy na świecie. Ksiądz Giussani rozumiał go bardzo dobrze, znacznie wcześniej niż inni: Chrystus przybył, by przebudzić człowieka; a o Jego obecności świadczy fakt, że ten, kto Go rozpozna, inaczej ustosunkowuje się do rzeczywistości, przeżywa intensywnie każdą chwilę, która jest mu dana. Tylko wtedy, gdy tego doświadczymy, będziemy mogli mówić o tym innym, tłumacząc, skąd bierze się nasza wiara, a w ten sposób przemieniając coś w świadomości osoby, którą spotkamy. W przeciwnym razie do niczego się nie przyczynimy. 

**Towarzystwo,
które prowadzi
do przeznaczenia,
istnieje tylko dzięki
obecności Chrystusa,
ponieważ bez tej
obecności niczego
nie widzimy ani nie
potrafimy zrobić.
„Chrystus jest
tożsamy z tym,
jak doświadczam
siebie”, powiedział
mi niedawno pewien
przyjaciel.**